

# ZBIERACZ

## LITERACKI I POLITYCZNY.



PELAGYA LASZKIEWICZÓWNA  
 CZYLI  
 POWIETRZE WE LWOWIE R. 1594.  
 (Dokończenie.)

«Nie przekupiłeś mię, panie złotem, ale wspomnieniem mej żony. Gdyby mię za to miało rozstrzelać w mieście, wpuszczę cię panie. Jedź i obyś był szczęśliwszym odemnie, obyś kochankę swoją zastał jeszcze przy życiu i oby Bóg śród zarazy zachował ją dla ciebie, a z nią szczęście twoje. Jam swoją dawno już na cmentarzu pochował.» — Znowu do muru obrócił się i można się było domyślić, że znowu też kilka pamiętce swęj żony poświęcił. Mileząc dobył kluczów i otworzył bramę, na ciężkich zawiasach wiszącą. Na hałas ten, psy pobliskie złowieszczym zaszczekały głosem i pouuro ozwała się sowa na baszcie Bernardyńskięj. Żołnierz przeże-

gnął się i podróżnego przesyła dreszcz zimna przecucia, jednak wjechał w bramę. «Bywaj zdrow żołnierzu» rzekł odjeżdżając. «Niech Bóg ci to odplaci, coś dla nieszczęśliwego uczynił. Jeżeli będę przy życiu nagrodzę ci dobroć twoję. Dopytuj się w rynku o Michała Ubaldyniego, a tak cię nagrodzę, że nie będziesz potrzebował więcej odbywać straży przy bramie.» — «Jedź panie z Bogiem, Bartłomiej niczego już nie potrzebuje. Gdy umrze, uprosił sobie miejsce przy swęj żonie i dziecku, a za to nieie zapłaci.» — Michał Ubaldyni odjechał, a żołnierz zamknąwszy za nim bramę, znowu koło nięj w milezeniu przechadzać się zaczął. «Zal mi pana tego» rzekł po chwili do siebie «młody człowiek, Ubaldyni, zapewne syn tego bogatego Włocha w rynku, który winami handluje. Słyszałem właśnie, że syn jego gdzieś

był wyjechał. Zgryzie się stary ujrzawszy syna wczasie tak niebezpiecznym wracającego do Lwowa, lecz oby tylko tę zastał, do której spieszy. Tyle już młodych dziewię wymarło, kto wie...» — Przestał mówić i oczy zatopił w widoku pełnego księżycą, który spokojnie, jak myśl szczęśliwego, po ugwieżdżonym przesunął się lazurze; tym czasem Michał Ubaldyni, istotnie syn bogatego handlarza winami, wracający z Wołoszczyzny, wjechał w obręb smutnego miasta. Nie miłe przejęły go myśli na widok kilku pozabijanych domów, widocznych przy świetle księżycy i groźnie napominających przybysza; na widok kościołów, tak późno otwartych jeszcze. Księża śpiewali suplikaeye, i lubo już późno było z wieczora, świątynie pańskie były jeszcze napelnione ludem, do oltarzów najwyższego uciekającym przed zarazą, która go ścigała w najskrytszym domu zakęcie. Wjeżdżając Ubaldyni do rynku zdybał karawan, na którym trupa prowadzono, otoczony kilku pochodniami. Książd i kilkoro ludzi szło tylko za karawanem, bo po-

dobnie obrzędy żałobne, niebędąc nowością teraz we Lwowie, nie wzniewały ciekawości publicznej. — Jakkolwiek Ubaldyni spieszył się do domu swęj kochanki, położonego koło bramy krakowskiej, piérwój jednak do swojego zbroczył, widziéć się z ojcem i o jego dowiedziéć się zdrowiu. Przybywa do domu ojca swojego, oddaje konia stróżowi kamiénicznemu i wchodzi na górę do komnat ojeowskich. Zastał tam tylko wiernego słuźalca i jakże ucieszył się, gdy mu tenże powiedział, że ojciec wyjechał jeszcze przed zarazą ze Lwowa i że dla téj zapewne przyczyny nie powraca. Wiele szczegółów o powietrzu opowiedział mu słuźalec, wspominał o wielu znajomych, którzy wymarli. Młody Ubaldyni nie śmiał pytaé się o kochankę swoję, pytanie to kilkakrotnie skońało mu na ustach. Serce gwałtownie biło w jego łonie i smutne myśli przelatywały mu po głowie. Na ścianie komnaty, w której się znajdował, wisiał jéj obraz, tak podobnie, tak ładnie przez jednego z jego ziomków zrobiony. Twarz na obrazie uśmiéchała się do niego, a

uśmiech ten tém boleśnieszą robił niepewność o jej powodzeniu i tak boleśnie ranił jego serce, jak boleśnie ranił matkę uśmiech dziecięcia, igrającego u trunny swojego ojca. — «Ah paniezu! pocóżeś przyjechał! zawołał przerażony sługa opowiedziawszy wszystko co wiedział. — «Drżałem o mojego ojca i chciałem go jak najprędzej oglądać. «Czy o ojca tylko pomyślał sobie i w dół spuścił oczy, i zarómił się w duszy, na kłamstwo tak widocznie wyrzeczone. — «Na wielkie paniezu naraziłeś się niebezpieczeństwo» odrzekł słuzalec «i radzę jak najprędzej odjeżdżać. Dziwno mi nawet jak paniezu wpuszczono do miasta.» — «Znalazłem czułe serce w strażniku przy bramie» rzecze młodzian «zrozumiał niespokojność moją i wpuścił z niebezpieczeństwem własnego życia.» Znowu chciał się zapytać o kochankę i znowu z trwogi usta jego zaniemiały. Nareszcie odważył się uczynić wzmiankę: «Jakże się mają w domu Laszkiewiczów?» — «Ile mi wiadomo zdrowi wszyscy dzięki Bogu» odpowiedział słuzalec «tylko...» — Na słowo

to «zdrowi» chciał młodzian w gwałtowném uniesieniu radości uściskać słuzalca, lecz dodany wyraz tylko znacznie go w zapale ostudził. Podobnie ostygłby człowiek raptownie z gorącego klimatu Afryki w strefę Syberyi przeniesiony. «Tylko» powtórzył przeciagniętym drżącym głosem i kolana pod nim zadrzały i dreszcz zimny wskróś go przeniknął. — «Tylko panna Pelagija słaba» smutnie słuzalec zakończył. — «Pelagija słaba!» krzyknął przerażony Michał «słaba na zarazę może, a ja tu stoję, ja nie spieszę z nią razem umierać» i szybkim krokiem zabił się do wyjścia. — «Ah nie chodź tam paniezu! głosem proszącym usiłował wstrzymać go sługa.» Dom państwa Laszkiewiczów przez słabość panny Pelagii podéjrzany został. Już go wszyscy znajomi unikają. Kto wie na co panna zasłabła. Szanuj się paniezu, jesteś jedynakiem starego ojca, który cię mocno kocha, a który nie przeżyłby twój straty.» — Słowa te na chwilę w odchodzie wstrzymały Michała, lecz całkiem wstrzymać go nie mogły. — «Pójdę choćby na ży-

ciu mojem życie wszystkich ludzi zależało!» zawołał; pomiar-kował się jednak, że źle powiedział, że słowy temi wykroczył przeciw kochającemu go ojcu i dodał łagodząc swój zapał: «Czyliż zaraza koniecznie każdego chwycić się musi! Ty sam starcze czyliż nie żyjesz dotąd, a jednak oddychasz zarążoném powietrzem Lwowa! Zresztą, któż tu mówi już, że Pelagija zarazą dotknięta?... Może inna jaka słabość, tak wierzę, tak chciał bym wierzyć.» Myśl ta, którą sam się oszukiwał, pochwlebiła jego nadziei i zdawała się usprawiedliwić go w oczach starca, który lubo w pokorze sługi, stał jednak przed nim jak mściciel nieczułości jego. «Pójdę» rzekł z postanowieniem Ubaldyni, «niepewność sama byłaby śmiercią dla mnie, gdy może napróżno tylko się lękam. Lecz jeżeli jest wola taka Najwyższego, ażeby Pelagija umarła, wiész jak ją kocham, jakie są związki nasze. Gdybym nawet tu nie był, a ona umarła, sądziszli starcze że bez niej mógłbym żyć dłużej? Byłbym martwym żyjących towarzyszem, umarłym za życia; lepiej więc, gdy ona ma umrzeć,

niech umrę, a umrę z nią razem istotnie.» Rzekł, otarł łzę, która mimowolnie zakręciła mu się woku i pospieszył do domu Pelagii.

Lotem błyskawicy do pomieszkania Laszkiewiczów przybywa. Jeszcze nie spano, jeszcze światła błyskały w oknach pierwszego piętra, które właściciel domu, Laszkiewicz, Ławnik narodu ruskiego, z rodziną zamieszkał. Michał leci na schody, drzwi z biciem serca otwiera i pierwszy, którego ujrzał przy wstępie do komnat, tak dobrze mu znanych, byłto ojciec Pelagii. W myślach zatopiony przechadzał się po samotnej komnacie, pojrzał kto wchodzi, a poznawszy Michała uściśnął go z zapałem: «Witaj Ubaldyni» rzekł «cudem prawie przybywasz. Nie sądziłem widzieć cię tak prędko.» — «A jednak sprawy ojca mojego dłużej jak chciałem wstrzymały mię na Wołoszczyźnie. Dowiaduję się w Suczawie, że powietrze grasuje we Lwowie, to przyspieszyło mój odjazd i pędziłem ile rączy koń mój mógł zdążyć, by jak najprędzej was i ojca mo-

jego zobaczyć. Ojciec wyjechał szczęśliwie przed upowszechnieniem zarazy, ale wy, dla czegoż wy zostaliście?» — «Pelagija zasląbla zaraz w dniach pierwszych powietrza,» odrzekł Ławnik «mogliżemy chorą ją zostawić? Dla niej zostaliśmy we Lwowie, gdzie pocziwy nasz Jan Ursyn jak wiadomo ci jeszcze mój szkolny towarzysz z Krakowa, ma o niej prawdziwie ojcowskie staranie. Ja i żona moja do tyczas zdrowi jesteśmy, ale cóż nam po zdrowiu, jeżeli Pelagiją utracimy.» — «Jako! także słaba jej życia nadzieja!» wykrzyknął przerażony młodzian «słyszałem, że niewiadomo jeszcze, na co chora.» — «Aż nadto wiadomo przyjacielu» smutno stary Ławnik odpowiedział. Przed chwilą właśnie brała ostatnie pomazanie i sam lekarz żadnej już prawie nadziei nie robi. Jużemy z żoną oplakali ją dosyć. Biędna Agata moja, trzy dni już czuwa przy jej łożu, boję się nawet, ażebym z córką razem i żony nieutracił. Nie uwierzysz, co nieszczęśliwa ta dziewczyna cierpi, wyszedłem na chwilę z jej sypialni, by na jej męczar-

nie nie patrzeć. I teraz jest przy niej nasz Ursyn, z narażeniem własnego zdrowia ma o niej staranie, za co niech mu Bóg nagrodzi, lubo jak uważam usiłowania jego daremne. Lubo wątpię o jej wyzdrowieniu, jestem chrześcijaninem i zdałem wszystko na wolą opatrności.» Ledwo słów tych domówił, rozplakał się jak dziecko, załamał rękę i z błagalnym spójrzeniem wznosił oczy do wiszącego na ścianie obrazu N. Panny Trembowelskiej. — Łzy ojca rozdarły serce kochankowi, nie nie rzekł, lecz zebrał wszelkie siły swoje i z drzeniem, z jakim zbrodzień wchodzi do sali sądowej, wszedł do komnaty sypialnej, gdzie chora Pelagija, jeszcze w słabości piękna, spoczywała na wzniosłym adamaszkowym łożu, nie poznając ludzi w malignie. Przy łożu na taborecie siedziała matka, Agata Laszkiewiczowa, mając głowę na ręce opartą i płakała dość głośno, obok siedział dominikan, ponuro modlący się na różańcu, a o framugę okna oparty stał Jan Ursyn, zawołany lekarz, akademik krakowski i nauczyciel w szkołach lwowskich. Ty-

lekrotnie patrzył już na umierających, a nigdy jeszcze nie był tak rozczulony, jak teraz. Łzy spływały po licach lekarza i przyjaciela domu Laszkiewiczów. Jeden zakonnik był obojętnym świadkiem tej sceny, wiara zrobiła go wyższym nad cierpienia ludzkie, ona w oczach jego na grobach nawet zasadzała kwiaty, uczyła go modlić się za umierających, ale dawno już z oczów jego łzy człowieka otarła. Missyonarz w dalekiej Indyi patrzył na męczarnie i śmierć towarzyszków swoich, a jednak nie płakał — Przybycie Ubaldyniego bardziej jeszcze rozrzewniło matkę. Szlochając głosem ledwo zrozumiałym wyrzekła: «Myślałam Michale, że stawiając z tobą do ołtarza ślubnego włożę wianek rozmarynu na głowę, jużem go pielęgnowała, jużem dla niej ciepło robiła, a nieszczęśliwa matka muszę teraz tę samą gałązkę rozmarynu położyć na trunnie mej jedynej córki.» — «Uhamuj córko żal swój» rzece dominikan kończąc paciérze i chowając różaniec u pasa. «Śmierć wydziéra ci dziecko a-le wydziéra do lepszego życia.

Ciesz się raczej, że prędzej cierpienia ziemskie zakończy. Religija niech wspiera cię w stałości umysłu. Bóg dał, Bóg zabiéra ci dziecko, wznies ręce do góry i rzeknij z Jobem: «niech się dzieje jego święta wola.» — «Łatwo wam mówić O. Benedykcie» rzece Laszkiewiczowa «kiedyście nigdy ojcem nie byli. Uzione są słowa wasze, ale nie trafiły do serca matki. Po cóż Bóg dał mi córkę, kiedy ją zabiéra!?» — «Nie bluźń kobieto!» przerażającym jak z kazalnicy głosem zawołał gorliwy Missyonarz. Zdawało mu się, że pod drzewem kokosowym na skale, niewiernych gromi Indyanów. Wybladła nad ascetami twarz jego zarumieniła się zapalem obrońcy wiary. «Nikczemny rąk Przedwiecznego utworze» mówił dalej «jak śmieysz zapytywać się go, dla czego tak, a nie inaczej postąpił. Święte są wyroki jego, w piorunach nawet poznajemy łaskę Jehowy.» — Grzmiący głos zakonnika przeraził szanującą go Laszkiewiczową, ale wątpimy czy do serca jój trafił. Zamilkła i smutném okiem na konającą pojrzała córkę, która bez

przytomności prawie zecerwie-  
niona maligną, z siniałemi usta-  
mi, z oczyma w słup obróconé-  
mi leżała na łożu i zrozognio-  
nych gorączką piersi częste i  
ciężkie wydawała westchnienia.  
Miechał Ubaldyni uklęknął przy  
jój łożu i mimo przestróg léka-  
rkarza, by się jój nie dotykał, u-  
całował jój rękę, niedbale na  
pościel zwieszoną. Pelagija zda-  
wała się oglądać na niego, lu-  
bo nie poznawała go; siwe jój  
oczy martwo wlepiły się wko-  
chanka. Prawie od zmysłów z  
rozpaczy odchodzący Ubaldyni  
nachylił się ku jój palającym u-  
stom i przytulił do nich swo-  
je, chcąc prawie dech jój  
wciągnąć w siebie, a z tchem i  
trucizną zarazy. Nadaremnie  
zakonnik z lekarzem chcieli go  
od jój łoża oderwać, oparł się  
im silnym młodzian. «Tu tylko przy  
jój łożu jest jeszcze miejsce dla  
mnie na tym świecie» zawołał  
głosem rozpaczy. «Droga ko-  
chanko moja przyjmij to ucało-  
wanie oblubieńca, miał on cię ze  
mną poślubić do życia, niech  
cię teraz do grobu poślubia.»  
Nie mógł dłużej mówić i zem-  
dlał. Gdy go Jan Ursyn spi-  
rytusami ocucił i gdy go osła-  
bionego nadmiarem żalu na dru-

die łoże zamieszono, już nieby-  
ła Pelagii na tym świecie, już  
dusza jój piękna uleciała w kraj  
nieśmiertelności, a ostatnie jój  
tehnienie wydobyte z jękiem ża-  
łosnym zastygło na ustach ma-  
tki i ojca przybyłego z drugiej  
komnaty na krzyk umierającej.  
— Szczęśliwy Miechał nie był  
na jój pogrzebie. Wtedy, kie-  
dy ją wśród płaczu rodziców i  
żału znajomych w grobowcach  
parafialnej cerkwi chowano, po-  
dobna jak i kochankę jego tra-  
piła go gorączka i kilka dni tyl-  
ko przeżył jój stratę. Umarł i  
lubo był odmiennego obrządku,  
według własnych życzeń wje-  
dnym z Pelagiją pochowany był  
grobie, a Szymon Szymonowicz  
znakomity poeta onego wieku,  
od współczesnych Ratulem naz-  
wany, Ormianin lwowski, na-  
pisał im nagrobek, który Zimo-  
rowicz w *Historji Lwowa*, do po-  
tomnych podał pamięci, brzmią-  
cy w następujących wyrazach:  
*Mors non disjunct quos sociavit  
amor.* (Śmierć tych nie dzieli,  
których miłość połączyła.

*St. Lub. Jaszowski.*

#### MENAŻERYA ŻEBRAKÓW.

Zewnątrz wschodniej bramy  
Paryża i tuż przy samej drodze,

przechywa teraz codzién od rana do wieczora ciekawa menażerya żebraków. Przechodzący zaledwo pokaże się wtém miejscu, obija się o uszy jego szczekanie czarnego brytana, zastępującego miejsce stróża menażeryi; zwiérzę to chwyta przechodzących za suknię i tak długo trzyma, dopokąd kilka centymów do obok stojącej puszkini nie wrzuca. Ta cokolwiek na rozbój zakrawająca czynność jest wszelako tylko prostém wymuszeniem artystowskiego honorarium. Bo zaraz potém daje się słyszeć marsz wojskowy; jestto żebrak przygrywający na lirze. Za ostatnim tój melodyi tonem, sroka, wtakt wyskakując, wzlatuje żebrakowi na wierzch głowy i woła wyraźnym głosem: *Bataillon, à vos rangs!* a pięć czarnych pudłów ustawia się wlinii bojowej. Na jęj komenderunek, również wyraźnym wyrzeczony głosem: *portez arme* i *presentez arme*, psy uzbrojone małými drewnianými karabinkami, wykonywują popis wojsko-

wy z dokładnością starych weteranów. Do dania ognia przygotowują się jak żołnierze: posypują proch na panewkę, naciągają kurek, przymierzają, celują i... ofiara pada... to jest wróbel... który tak martwo leży, jak gdyby był od dni kilku zabity. Całe to olimpijskie drama dzieje się wszakże bez kierunku właściciela menażeryi, ten bowiem nieszczęśliwy pozbawiony jest wzroku. Nie zdarza się nigdy bycoby chybiono wtój przedstawie, tak ogólnie, jakoteż szczegółowo i każdy z patrzących musi oddać sprawiedliwość zmyślności działających zwiérząt. Po zachodzie słońca ciemny żebrak, zabiérając się do odjazdu, siada na mały wózek, do którego sam brytan wchomął się wprzégą, by ciągnąc przy pomocy pudłów do czego przyczynia się także koza (używana do skakania po linie), wróbel zaś i sroka, sadowią się na ramionach swego pana i tym sposobem cała ta karawana wraca codzién do domu.

---

Pismo to wychodzi trzy razy wtydzień to jest. w PONIEDZIAŁEK, SRODĘ i PIĄTEK o drugiej po południu. — Zaliczenie kwartalne na 36 Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w handlach Wych Rocha i Schreibera.

---